TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 632 NOBLE STR., CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie.. $1.00.
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 13. Chicago, Ill., Czwartek, 31-go Marca, 1898. Rok XII.

Książę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

Jeżeli pozwolisz, książę, wezmę dziesięciu zuchów, tabun zestraszę i Tatarów przepłoszę, a ty przez ten czas, jeżeli chcesz, uderz na nich z dwóch stron, tylko z dobrym krzykiem, i niech będę Tatarzynem, jeśli ich połowy nie wyrzniemy! To mówię tylko tak, na początek, na noc, a jak wstanie słonko, to już ty, kniaziu, rozkazuj, a my będziemy słuchali!

Srebrny znał dobrze Pierścienia, pozwolił mu przeto czynić, jak sam uważa.

— Chłopcy — zwrócił się Pierścień do rozbójników, — trocheśmy się pospierali, ale to już minęło, a teraz czy znajdzie się pomiędzy wami dziesięciu, coby chcieli ze mną pójść do obozu?

Wybieraj, kogo chcesz — odpowiedzieli rozbójnicy — wszyscyśmy gotowi.

— Dobrze, chłopcy, kiedy pozwalacie, to biorę: chodź tutaj Poddubnyj; i ty, Chłopka; i ty, Dzięcioł; i ty, Sito; i ty, Stepka; i ty, Miszka; i Szestoper; i Kowadło i Szarańcza. A ty po co, Mitka? ciebie nie wołałem, zostań z kniaziem, tyś do naszej sprawy niezdatny. Poodpasujcie chłopcy szable, z niemi nie dobrze się czołgać, a dla nas dosyć i noży. Tylko chłopcy, robić, jak każę! bezemnie ani rusz! kiedyście przystali, to słuchać, a kto nie, tego zaraz chlast!

— Dobrze, dobrze — odrzekli wybrani rozbójnicy — jak każesz, tak uczynimy. Już jakeśmy się zgodzili, to niech cię głowa o

nas nie boli!

— Widzisz, książę, ten pagórek? — mówił dalej ataman, jak dojdziesz doń, to ujrzysz ognie. A moja rada: czekać u pagórka, póki nie usłyszycie mego gwizdnięcia. A jak zestraszę tabun, i usłyszycie krzyk i świst, to jazda na pogan! Tatary nie będą mieli gdzie uciekać bez koni; z jednej strony my, a z drugiej rzeczka z okrutnem błotem.

Książę obiecał we wszystkiem trzymać się rady Pierścienia. Tymczasem dziesięciu opryszków udało się za głosem czebuzgi i znikło w trawie.

Po upływie mniej więcej półgodziny Pierścień i towarzysze byli już blizko kibitek tatarskich; leżący w trawie Pierścień podniósł głowę do góry. O jakie pięćdziesiąt kroków przed nim paliło się ognisko, dokoła którego siedziało po turecku kilku Baszkirów: jeden w pstrym chałacie, inny w baranim kożuchu, a inny znów w podartym kaftanie z wielbłądziej skóry. Piki wetknięte w ziemię sterczały przy każdym, a cień od nich padał nawet do samego Pierścienia. Tabun z kilku tysięcy koni, powierzony Baszkirom, pasł się tuż — tuż. A dalej znów, tak o sześćset kroków, inne ogniska oświetlały niezliczone mnóstwo wojłokowych kibitek. Nie bardzo pilnowali Baszkiry swego tabunu. Przeszli od Wołgi do samego Riazania, nie napotykając najmniejszej przeszkody; wiedzieli, że wojska rosyjskie są rozpuszczone, nie oczekiwali przeto nieprzyjaciela; a od wilków ustrzeże ich czebuzga i gardło. Czterech Baszkirów oparło na górne zęby końce długich "dudek" i nabrawszy w szerokie piersi ile można było powietrza, dęli póki im sił starczyło. Inni wtórowali gardłem a ogień padał im na twarze, amarantowe z natężenia.

Kilka chwil napawał się Pierścień tym widokiem, bijąc się z myślą: czy wpaść od razu z nożem na Baszkirów znienacka, czy też wprzódy rozegnać konie, a potem ułatwić się z nimi.

To mu się wydawało dobrem, a tamto jeszcze lepszem.

— Oj, co za tabun! — myślał, wstrzymując oddech — co za konie! ile ich! jeśli zestraszyć je mądrze, to puszczą się na kibitki i wszystkie połamią, a bigosu też na-robią Tatarom, że i swój swego nie roz-różni!

A i te psie dzieci jak ładnie siedzą, jak wygrywają! na dwa kroki można pod czołgnąć się do nich.

— Tak, czy tak — rzekł do siebie w końcu ataman — trzeba naprzód ułatwić się z Baszkirami.

— Sito! — szepnął do zaczajonego towarzysza — czy cię w gardle nie drapie, będziesz mógł ryknąć?

— A ty czemu nie chcesz? — spytał Sito.

— Ochrypłem niby trochę.

— No mogę, czy teraz?

— Poczekaj, jeszcze nie. Czołgaj się jak można najbliżej ku tabunowi — póki konie cię nie zauważą, a jak tylko zaczną strzydz uszami, zawyj jak najstraszniej i pędź je prosto na kibitki.

Sito kiwnął głową i znikł w trawie.

— No, chłopcy — szepnął znów Pierścień do reszty towarzyszy, pełzajcie za mną na pogan, jeno ostrożnie! Widzicie, ich dwudziestu, a nas dziewięciu; na każdego z was po dwóch; ja na siebie biorę czterech. Jak usłyszycie, że Sito zawył, i wy wszyscy od razu zaryczcie, i prosto na nich. Gotowi?

— Gotowi — szepnęli rozbójnicy.

Ataman po cichutku zaczął z za pas wyciągać swój nóż.

XXVI.

Zbratani.

Srebrny oczekiwał z niecierpliwością [...] mówionego znaku. Maksym, który nie op[...] szczał księcia ani na chwilę, tak się [...] ozwał:

— Kniaziu, niedługo się już bój zaczn[...] gdy wzejdzie słońce, wielu z nas go nie [...]rzy, a jabym cię chciał poprosić...

— O co Maksymie Grygoryiczu?

— Nic to wielkiego, ale nie wiem, ja[...] by ci powiedzieć, trochę mi...

— Mów, Maksymie, byleby tylko to n[...]żebnem było do uczynienia.

— No, to dobrze, książę, powiem ci p[...]

wdę! Porzuciłem pokryjomu Słobodę; nie usłuchałem ojca, nic nie mówiłem matce. Nie mogłem dłużej być opricznikiem! Tak mnie to zmartwiło, że nieraz sam nie wiedziałem co czynić, — różne brednie przychodziły do głowy, nawet utopić się miałem zamiar. Widzisz, bojarze, jestem jedynakiem, bratam nigdy nie miał; od Przemienienia Pańskiego zaczął mi się dziewiętnasty rok; czy uwierzysz kniaziu, że dotąd nie miałem z kim zamienić dobrego słowa? Żyję między nimi sam, samiuteńki, żaden z nich mi nie brat, wszyscy obcy. Każdy myśli tylko, jakby drugiego spotwarzyć, by samemu pójść przez to wyżej. Codziennie tortury i śmierć. Z cerkwi niby nie wychodzą, a dręczą naród gorzej od opryszków, byleby sami mieli więcej złota, srebra, a Ruś niech tam sobie ginie! Car zacz, chociaż tak jest groźny, słucha czasami prawdy; żeby też choć któremu język się przekręcił i prawdę rzekł, gdzie tam! wszyscy Janowi potakują! A dasz mi wiarę, kniaziu, że jakem tylko cię ujrzał, na sercu mi się zaraz tak błogo zrobiło, jakbym brata spotkał. Nie znałem cię jeszcze, a już cię pokochałem: i z oczu nie tak ci patrzy, jak im, i słowa dźwięczą inaczej. Godunow, przypuśćmy, lepszy trochę z nich, ale zawsze nie to, co ty. Patrzałem na ciebie, jakeś z gołą ręką stanął do niedźwiedzia; jak Basmanow, po otruciu starego bojarzyna, i tobie przyniósł puhar z winem; jak cię pod topór prowadzili; jakeś dzisiaj z opryszkami mówił — coś mnie tak do ciebie ciągnęło, że ot po prostu chciałbym ci rzucić się na szyję. Nie dziw się, kniaziu, moim głupim słowom, dodał Maksym, spuszczając oczy — nie narzucam ci się ze swą przyjaźnią, wiem, kto ty jesteś, a kto ja; ale cóż mam robić, kiedy samo serce rwie się do ciebie, a co na sercu to i w gębie.

— Maksymie Grygoryiczu — rzekł Srebrny, i silnie ścisnął mu rękę — i ja cię kocham jak brata rodzonego.

— Dzięki ci książę, dzięki! Kiedy już doszło do tego, to pozwól odrazu wypowiedzieć, co mam na duszy; jak widzę, mną nie gardzisz. Pozwólże mi, książę, teraz przed bitwą, według dawnego chrześciańskiego zwyczaju, zbratać się z tobą. Ot i cała prośba — nie obraź się za to na mnie. Gdybym był wiedział na pewno, że będziemy jeszcze długo żyli razem, tobym cię nie prosił; pamiętałbym, że tobie nie wypada być moim bratom, bo jesteś szlachetniejszego rodu, ale teraz....

— Dosyć, po co Boga gniewać, Maksymie Grygoryiczu — przerwał mu Srebrny — dla czegóż nie mógłbyś być moim bratem? Kto to na ród zważa? tutaj przed Tatarami, na odkrytem polu, jesteśmy równi, Maksymie, wreszcie wszędzie jesteśmy równi, gdzie stoimy przed Bogiem, nie przed ludźmi; zbratajmyż się.

Książę zdjął z siebie krzyż na złotym łańcuchu i podał go Maksymowi.

Ten także zdjął z szyi krzyż, prosty, miedziany, co wisiał na jedwabnej plecionce, pocałował go i przeżegnał się.

— Weź go, Nikito Romanowiczu, tym krzyżem błogosławiła mię matka, gdyśmy jeszcze byli biednymi ludźmi, i nie mieli łask u cara Iwana Wasiljewicza. Chowaj go, najdroższa to moja pamiątka.

Wtedy obaj jeszcze raz się przeżegnali, pomieniali na krzyże i uściskali wzajemnie.

Maksym bardzo był szczęśliwy.

— Teraz — rzekł radośnie — jesteś mi bratem, Nikito Romanowiczu: twój druh — mój druh, twój wróg — mój wrog; będę kochał twoją miłością, będę myślał twoją myślą, będę się gniewał twoim gniewem. Teraz mi weselej i żyć i umrzeć: mam z kim żyć, mam za kogo umierać!

— Maksymie — odpowiedział Srebrny, głęboko wzruszony — Bóg świadkiem, jestem twym szczerym bratem; nie rozstanę się z tobą do śmierci.

— Dziękuję, dziękuję, Nikito Romanowiczu, nie powinniśmy się rozstawać. Jeżeli, da Bóg, żywi będziemy obaj, pomyślimy razem, czemby się przysłużyć ojczyźnie. Niepodobna żeby już wszystko na Rusi przepadło, i żeby carowi można było służyć tylko w opricznictwie...

Maksym mówił z wielkim zapałem, lecz nagle urwał i schwycił Srebrnego za rękę.

Przeraźliwe ryknięcie rozległo się w oddaleniu. Powietrze jakoby zadrżało, ziemia się zatrzęsła, rozpaczliwe krzyki dochodziły z obozu tatarskiego i kilka koni z najeżo-

nemi grzywami przeleciało koło Srebrnego Maksyma.

— No, chłopcy — rzekł Srebrny, siadając na rumaka — teraz mnie słuchać — tu wyciągnął szablę i wywinął nią w powietrzu — nie zbijać się w kupę i nie rozpraszać! każdy niech zna swoje miejsce! z Bogiem za mną!

Rozbójnicy skoczyli na równe nogi.

— Słuchać kniazia, słuchać! — powtarzano w szeregach.

Cała banda ruszyła za Srebrnym przez pagórek, co im dotąd przysłaniał nieprzyjacielskie ogniska.

Wtedy uderzył ich oczy niespodziewany widok. Na prawo od obozu tatarskiego przemykały się z początku małe, ogniste języki, które co chwila się rozszerzając i łącząc razem w jeden ogromny płomień, ciągnęły na pogan.

— Oj ten Pierścień, oj ci nasi! — krzyknęli opryszkowie — zapalili step i puścili ogień z wiatrem prosto na Basurmanów.

Pożar zwiększał się z nadzwyczajną prędkością. Cały step z prawej strony obozowiska zamienił się w morze ogniste, a jego fale wkrótce zalały najbliższe kibitki i oświetliły istne poruszone mrowisko — obóz wraży.

Tatarzy, ratujący się od ognia, walili się z przestrachu prosto na rozbójników.

— Na nich, chłopcy — huknął piorunującym głosem Srebrny — pchać ich w wodę, pędzić na ogień.

Odpowiedzią był ogromny krzyk; rozbójnicy sunęli na Tatarów i wszczęła się straszna rzeź. . . . .

. . . .

Gdy wstało słońce, walka jeszcze się ciągnęła, ale pole było usiane tatarskiemi trupami.

Parci z jednej strony przez oddział Srebrnego, z drugiej przez pożar, nieprzyjaciele nie mogli się zebrać z myślami i chronili się do błotnistej rzeczki, gdzie wielu ugrzęzło na śmierć, inni zginęli w ogniu lub się zadusili od dymu. Spłoszony tabun od samego początku wpadł na obóz, połamał kibitki i takiego popłochu narobił między Tatarami, że jeden drugiego rżnął, dusił, nie myśląc stawić oporu wrogom. Jedna część zdołała się przedrzeć przez ogień i rozpierzchła po stepie. Druga, z ledwością zebrana przez samego szyryńskiego murzę, Szychmata, przebyła rzeczkę i uszykowała się na drugim brzegu. Tysiące strzał sypnęło ztamtąd na tryumfujących Rosyan.

Rozbójnicy, nie mając innej broni prócz ręcznej, a oddaleni od wrogów błotnistą rzeką, nie mogli stawić oporu i stchórzyli.

Daremnie Srebrny proźbą i groźbą starał się przyprowadzić ich do porządku. Już oddziały Tatarów pod przykryciem strzał napowrót przepływały rzeczkę, by z tyłu uderzyć na Srebrnego, gdy Pierścień zjawił się nagle koło kniazia. Smagła twarz gorzała mu ogniem, koszulę miał porwaną, z noża kapała krew.

— Stójcie chłopcy, stójcie sokoły! — krzyknął na rozbójników — czyż oczy wam się zaprószyły? Nie widzicie, że pomoc nadciąga?!

I rzeczywiście, na przeciwległym końcu horyzontu, poruszał się oddział w bojowym szyku; piki i halabardy połyskały od promieni wschodzącego słońca.

— Przecież to ciż sami Tatarzy! — odpowiedzieli rozbójnicy.

— Sam jesteś Tatarzynem — rzekł z gniewem Pierścień — tak idzie horda? Tatarzy ciągną pieszo? A tego nie widzisz na przedzie, na szarej szkapie? żali ma broń tatarską?

— Prawosławni idą! — krzyknęli rozbójnicy — hola bracia, prawosławni idą na pomoc!

— Widzisz książę — rzekł Pierścień — te psie dzieci zwęszyły, co się święci; nie strzelają już tak często! A jak się ta oto drużyna z nimi spotka, ja ci pokażę, którędy w bród przejdziemy rzekę i uderzymy z boku.

Nowy oddział przysuwał się coraz bliżej, tak, że można już było rozpoznać jego uzbrojenie i odzież. Zdawało się, że oddział ów został na prędce sformowany z chłopów; tylko przednie szeregi miały jednakowe kaftany, a w ręku harabardy i piki; zaś reszta ubraną była w najrozmaitsze łachy, jak oddział Srebrnego; a i broń miała rozmaitą: kosy, buławy. Dowódzca tej drużyny — młody, zgrabny mężczyzna. Z pod błyszczą

cego hełmu spadały mu długie blond włosy. Zręcznie prowadził konia srebrzystoszarej maści, który to stawał dęba, to wdzięcznie przebierał nogami i wesoło szedł na wrogа.

Tatarzy przyjęli wodza i drużynę chmarą strzał.

Przez ten czas Nikita Romanowicz ze swoimi przeprawił się przez rzekę i natarł na sam środek nieprzyjaciół, na których także z drugiej strony napierał tylko co przybyły oddział.

Już z godzinę wrzała walka. Srebrny na chwilę odjechał do rzeczki, by napoić konia, i podciągnąć popręgów. Maksym to zauważył i przypędził doń.

— No, Nikito Romanowiczu — rzekł wesoło — widać, Bóg staje za św. Ruś, zobaczysz, że nasza wygra!

— Tak — odparł Srebrny — dzięki temu bojarzynowi, co przybył w dodatku. Widzisz, jak rąbie i w prawo i w lewo! Co to za jeden? zdaje mi się, żem go gdzieś widział!

— Jakto, Nikito Romanowiczu, nie poznałeś go?

— A ty go znasz?

— Jeszczećby też! Bóg z nim! wiele grzechów będzie miał odpuszczonych za dzień dzisiejszy; to Fedka Basmanow!

— Basmanow?... ten?.... czyż naprawdę on?!

— Tak, on i do siebie niepodobny! Zdarzało się, aż wstyd pomyśleć, że nieraz w spódnicy, jak dziewczyna, tańczył, skakał carowi, a teraz, widzisz, sumienie go ruszyło: zebrał chłopów dworskich i napadł na Tatarów; i w nim zadrgała ruska dusza. A siła też zkąd mu się wzięła! — pomyślisz. — Bo też jak to się nie przeinaczyć w taki dzień — mówił dalej Maksym ze wzruszeniem, i oczy mu błyszczały radośnie — czy uwierzysz, Nikito Romanowiczu, że ja sam siebie nie poznaję! Jakem opuścił Słobodę, ciągle mi się zdawało, że już nie długo mam żyć na tym świecie, i coś mnie ciągnęło na Tatarów, nie po to, żeby ich pobić, bo, myślałem, znajdą się lepsi do tego ode mnie, ale po to, żeby złożyć głowę na tatarską szablę. Ale teraz nie, teraz chcę żyć! Słyszysz. Nikito Romanowiczu, gdy wiatr roznosi wojenny odgłos, to w niebie skowronki dzwonią. Tak też wesoło dzwoni mi serce. Taką czuję w sobie siłę i wolę, że cały wiek wydawałby mi się za krótkim. I o czem to ja nie myślałem od chwili gdy wstała zorza! Teraz się dopiero przekonałem, ile jeszcze można dobrego uczynić dla ojczyzny! Tobie car przebaczy, inaczej stać się nie może; nietylko przebaczy ale i pokocha. Weź mię wówczas do siebie i pozwól nam razem myśleć i czynić, jako Adaszew z Sylwestrem. Wszystko ci wypowiem, co mam na myśli, a teraz Nikito Romanowiczu, żegnaj, czas do nich! zdaje się że Basmanowa otoczyli, choć on taki, ale trzeba go ratować.

Srebrny spojrzał na Maksyma prawie ojcowskim wzrokiem.

— Ochraniaj się, Maksymie — rzekł — nie pchaj się daremnie na miecze, i tak już jesteś cały we krwi.

— To widać wraża krew — odpowiedział wesoło Maksym, patrząc na swą koszulę — mnie nawet nie drasnęli, twój krzyż mnie strzeże.

W tej chwili zaczajony w trzcinie Tatarzyn wyszedł na brzeg, naciągnął łuk i puścił strzałę na Maksyma.

Jęknął łuk tatarski, zaświszczała strzała i ugodziła w białą pierś Maksyma, pod samo serce. Zatoczył się Maksym na siodle i chwycił za końską grzywę; nie chce się jeszcze umrzeć dzielnemu zuchowi, nie skończyła się jeszcze ostatnia jego godzina; spadł jeno na ziemię, a padając, nogę zostawił w strzemieniu. I powlókł go koń po szczerem polu; i leci Maksym leżąc na wznak, i ręce białe ma rozpostarte, a będziory jego zamiatają matkę ziemię, i bieży po polu za nim ślad krwawy.

Dojdzie do Słobody niedobra wieść, zaszlocha matka Maksyma, nie ujrzała nawet umierającego dziecięcia, nie będzie komu zakryć jej starych oczu. Zapłacze łzami krwawemi, nie wskrzesi swojego syna.

Dojdzie do Słobody niedobra wieść, zazgrzyta Maluta zębami, odemści jeńcom tatarskim, naścina w więzieniach stosy głów, i nasyci krwią chciwą duszę — nie wskrzesi swojego syna.

Zapomniał Srebrny o bitwie, o Tatarach,

nie widzi, jak Basmanow dusi pogan, jak Pierścień i opryszki chwytają uciekających, widzi tylko, że koń włóczy po polu jego przybranego brata. Skoczył Srebrny na siodło, popędził za koniem, i schwyciwszy go za uzdę, zszedł na ziemię i wyjął nogę Maksymowi ze strzemienia.

— Maksymie, Maksymie — rzekł, klękając i podnosząc mu głowę — czy żyw jesteś, mój bracie otwórz oczy, powiedz choć słówko.

Maksym roztworzył zamglone oczy, i wyciągnął do księcia ręce.

— Żegnaj mi przyrodny bracie, uczyńże sam to cośmy we dwoje uczynić mieli.

Srebrny przyłożył usta do gorącego czoła umierającemu i spytał:

— Maksymie, może masz mi jeszcze co do powiedzenia?

— Zanieś matce ostatnie pozdrowienie, powiedz żem umarł z jej imieniem na ustach.

— Powiem, Maksymie, powiem — rzekł Srebrny, ledwie się od łez wszymując.

— A krzyż — mówił dalej Maksym — który mam na sobie, oddaj jej, mój zaś noś na pamiątkę po bracie swoim.

— Bracie mój — spytał znów Srebrny — czy ci nie leży jeszcze co na duszy? na sercu? Nie wstydź się Maksymie, kogo ci żal jeszcze prócz matki?

— Żal mi ojczyzny, żal św. Rusi; kochałem i ją jak matkę, a nic innego mi na sercu nie leży.

— Maksym zamknął oczy. Twarz miał rozpaloną, dech coraz trudniejszy. Po chwili znów spojrzał na Srebrnego.

— Bracie... okrutnie pali... tu w piersi... wody .. wody... jak najzimniejszej.

Rzeka była niedaleko, kniaź wstał, nabrał wody w hełm i podał Maksymowi.

— Teraz lżej.... — powiedział umierający — podnieś mnie, chcę się przeżegnać.

Książę podniósł Maksyma, a ten rzucił w krąg błędnem okiem, dostrzegł uciekających Tatarów i uśmiechnął się:

— Mówiłem, Nikito Romanowiczu, że Bóg trzyma z nami... patrz jak rozpierzchli... w oczach mi ciemno... nie chciałbym umierać teraz!...

Krew buchnęła mu z ust.

— Boże, przyjmij mą duszę! — zdołał jeszcze wymówić i padł martwy.

XXVII.

Basmanow.

Ludzie Basmanowscy i opryszkowie otoczyli Srebrnego.

Tatarów pobito na głowę; wielu się poddało, inni uciekli. Maksyma pochowano w wykopanej mogile. A Basmanow kazał rozłożyć na brzegu rzeki swój perski namiot, i posłał do Srebrnego sługę, który oznajmił kniaziowi: bojarzyn bije mu czołem i prosi nie pogardzić jego obiadem, co na prędce został zgotowanym.

Leżący na atłasowych poduszkach Basmanow, już wyczesany i wypomadowany, przeglądał się w zwierciedle, które mu trzymał młody strzemienny, klęczący na ziemi. Basmanow, było to dziwne połączenie chytrości, pychy, rozpusty, odwagi i nienawiści rodu bojarskiego. Wiedząc, że Srebrny powinien nim gardzić, oprycznik, spełniając nawet dług gościnności, myślał już dawniej, jakby odemścić gościowi, jeżeli ten okaże ową pogardę. Gdy Srebrny wszedł, Basmanow przywitał go kiwnięciem głowy, lecz nie ruszył się z miejsca.

— Tyś, widzę, raniony, Fedorze Aleksieiczu? — spytał Srebrny z współczuciem.

— Nie, nie zranionym — rzekł Basmanow, któremu to pytanie wydało się szyderstwem, i postanowił odpowiedzieć na nie bezwstydem — nie ranionym, tylko się trochę zmachałem, ażem twarz opalił.

— A tobie jak się zdaje, książę — dodał, patrząc wciąż w lustro i poprawiając swych perłowych kolczyków — czy prędko opalenizna zejdzie hę, jak myślisz?

Srebrny nie wiedział, co odpowiedzieć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

HISTORYA
— O —
RYCERSKIM OWCZARKU

PRZEZ

JANA KUPCA.

(Dokończenie.)

Z szybkością, jaką tylko człowiek wykonać potrafi, przyskoczyła królewska -rodzina na jego ratunek, za nią także i służba i lekarz, który każdym razem z niemi był. Podniesiono go ze czcią, zaniesiono do powozu królewskiego, a lekarz zajął się czemprędzej trzeźwieniem go. Jak długo bez przytomności zostawał i co się przez ten czas z nim działo, nie wiedział, a gdy zmysły odzyskał, ujrzał się w karecie w objęciach królewny.

— O jak dobrze spałem — przemówił rycerz. —

— Ej, nie spałeś, waleczny rycerzu, nie — odpowiedziała królewna — było to spanie, które to człowieka na drugi świat wyprawia, a tylko cudem Bożym i zdolnością naszego lekarza obudziłeś się.

Tu całe zdarzenie opowiedzieli mu, gdyż on nic nie wiedział. Teraz dopiero przypomniało mu się, co przed niedługim czasem zrobił. Po zażyciu lekarstw odzyskał zupełnie dawniejszą siłę. Oświadczył im, że czas wielki mu oddalić się, gdyż bardzo pilny interes nie pozwala mu dłużej bawić się. Gdy te słowa wymówił, cała rodzina królewska niezmiernie się zasmuciła, a król mu wręcz odpowiedział, że go nie puści, owszem go gwałtem zabierze z sobą, przytem obiecywał mu dać swą córkę za żonę, a z nią całe królestwo.

—'To być nie może — odrzekł rycerz — ja muszę precz, a gdybyście mnie gwałtem zabrali, to wiedźcie o tem, iż mnie nieszczęśliwym uczynicie.

Widząc król, że to być nie może, dał wreszcie pozwolenie, ale go gorąco prosił, aby, skoro będzie mógł, przybył do niego. Królewna zaś zdjęła drogi pierścień ze swego palca i ten mu dała z tą prośbą, żeby, ile razy na ten pierścień spojrzy, wspomniał o niej. I tak z wielkim płaczem pożegnali go. On też niebawem wsiadł na konia, który go na krok nie odstąpił — i odjechał.

Królestwo też z radością i zarazem ze smutkiem do swego pałacu pojechali, bo choć się cieszyli z wybawienia jedynej córki od śmierci tak okropnej, to jednak z powodu oddalenia się ich wybawcy, zwłaszcza gdy nawet imienia jego i zkądby był nie wiedzieli, smutek w ich serca wstąpił.

Ale wróćmy się do naszego rycerza. Otóż po oddaleniu się od królestwa wnet w zaklętym zamku stanął. Tam dzielnego konia na dawnem miejscu postawił, ubiór rycerski i zbroję złożył z siebie, ubrał się w swe pasterskie odzienie i spiesznie do mieszkania swego opiekuna pobiegł.

Któż tu wypowiedzieć zdoła, z jaką radością przyjęty i powitany został. Więcej, niżby to własny ojciec swemu dziecku uczynić mógł.

— Szczęśliwy jesteś, mój drogi synu! — zawołał ów leśny człowiek. — Szczęśliwym masz jeszcze i mnie uczynić. Odznaczyłeś się wielkiem męztwem i odwagą, ale jeszcze raz odwagi ci potrzeba będzie — a wtedy i mnie wybawisz, o tem jednak dziś byłoby za wcześnie ci powiedzieć. Spodziewam się jednak, że tak do końca mi powolnym pozostaniesz.

Po wielu rozmowach, gdy już dzień się

chylił do końca, nasz owczarek zabrał swoje owce i popędził do dworu. Tu zastał wielką wesołość: muzykanci sprowadzeni grali skoczno, służba ochoczo tańczyła na dworcu, panowie zaś i panie po ozdobnych salach suwali. Nie zapomniano tu i o jadle i o piciu: półmiski z wykwintnemi potrawami, jakoteż puhary z wybornem winem obiegały po stołach: nie zapomniano też i o sługach: każdy dostał, ile mógł spożyć. Nie zapomniano i owczarka, bo i temu dano dobrą porcyę, żeby i on miał okazyę cieszyć się z wybawienia królewny. On też pił, jadł i tańczył jak drudzy, ale ani słówkiem nie zdradził sekretu, że on ją wybawił.

Przeszły wreszcie uciechy, przeminęły tańce i każdy patrzał dalej swego powołania. Król też zajął się uporządkowaniem kraju. Dla biednych podatków umniejszył, żeby i ci cieszyć się z nim mogli. Kościoły stawiał na chwałę Bożą, szkoły zakładał, żeby młodzież mogła się doskonalić w naukach: bo wiedzieć trzeba, że przedtem dla tej plagi nikt o naukę nie dbał, gdyż lękał się, skoro nań los padnie być przeznaczonym smokowi na pożarcie. Teraz wszystko się zmieniło.

Kilka tygodni, a nawet miesięcy, upłynęło po zabiciu smoka. Król każdy dzień wygląda, jeżeli wybawca zgłosi się po nagrodę, z którą oraz i ręka królewny przyrzeczoną była — ale darmo, wybawca się nie znajduje. On, jako szlachetny człowiek, chciałby go koniecznie wynagrodzić, a chodziło mu o to, żeby po swej śmierci godnego następcę zostawić. Jednak, mimo wszelkich oczekiwań, nie przybył. Dowiadywał się od różnych osób, czyli o takim nie wiedzą — nikt mu tego powiedzieć nie mógł. Królewna się ztąd bardzo smuciła, bo choć się różni książęta i rycerze o jej rękę starali, to ona każdemu odmówiła, bo tylko rycerz w złotej zbroi, który ją wybawił, jej się upodobał; na jego przybycie czekała, nawet w nocy marzyła o nim.

Kiedy już wszelka nadzieja była stracona, żeby się sam zgłosić mógł, król postanowił gwałtem go sprowadzić. Na ten cel — jednak o znaczeniu tegoż zamilczał — kazał rozpisać listy do wszystkich rycerzy w swym kraju, żeby na wyznaczony dzień wszyscy bez żadnej wymówki, do niego przybyli.. Zaprosił także i w sąsiednich krajach książęta, a oraz ich prosił, żeby i podwładnych sobie rycerzy z sobą zabrali. Myślał, że na ten sposób swego celu dopnie, że kiedy wszyscy rycerze się zjadą, to między nimi musi być i ten, który smoka zabił.

Przyszedł naznaczony dzień. Zewsząd zjeżdżają się rycerze, to na wozach, to inni znów na koniach; książęta zaś z innych królestw z wielką okazałością, w poczcie licznych rycerzy. Zjechało się ich kilkanaście tysięcy, jakto nieprzymierzając na elekcyi pod Warszawą, za czasów Rzeczypospolitej Polskiej. Król sprowadził mnóstwo kucharzy, sprowadził dużo potraw i napojów, żeby wszystkich po pańsku uraczyć. Liczne kapele przygrywały w wystawionych na ten cel szopach, bo w pałacu nie można było wszystkich pomieścić. Każdy rycerz podziwiał piękność królewny, i każdy by rad z nią tańcować, ale ona z nikim iść nie chciała, bo chodziło jej o to, żeby swego wybawcę odnaleźć, a ponieważ tak wiele gości było, to też dość czasu upłynęło, nim każdego z osobna obejrzeć mogła. I król i królowa śledzili za nim. Żeby zaś mieć łatwiejszy przystęp do tego, wypytywano się każdego o imię i nazwisko, jako też i o pochodzenie. Wszystkie jednak zabiegi nie odniosły pożądanego skutku; rycerza, który smoka zabił, nie znaleziono. Nowy smutek napełnił ich serce, bo stracili już wszelką nadzieję odszukania go. Ale wróćmy się do znanego nam owczarka, na którego nikt nie zważał, choć właśnie pod okiem był.

Przez cały czas nic się u niego nie zmieniło: każdy dzień był zajęty swojemi owcami; to była jego służba. Nie pasał ich je nigdzie indziej, jak w znajomym mu lesie. Tam całe dni z swym opiekunem przepędzał. Od niego dalsze kształcenia odbierał, i wiele jeszcze nowych i ciekawych rzeczy się dowiedział. A że owemu leśnemu człowiekowi nic tajnem nie było, to też on wiedział, na co ten zjazd u króla, i chcąc swego wychowańca uszczęśliwić, nauczył go jak ma sobie postąpić wobec tej wielkiej uczty. Owczarek, jak zawsze, i tą razą, wszystko najakuratniej wykonał.

Kiedy już parę dni upłynęło, jak uc-

się zaczęła, i każdy z gości ucieszył się do woli, to też i przestano tańców, a każdy z gości rad był trochę wypocząć. Szczodrobliwsi panowie dawali służbie dworskiej różne podarunki, to w pieniądzach, to w innych kosztownościach. Nasz owczarek, o którym wszyscy zapomnieli, przyszedł przed króla i prosił go, żeby mu było wolno na swej harfie gościom zagrać, żeby tym sposobem mógł sobie co zarobić. Król chętnie na to pozwolił, napomniał go owszem, żeby pięknie grał. Sam go jeszcze zaprowadził przed gości i im go przedstawił. Wywiązał się też owczarek ze swego zadania, bo każdy jego muzyki z zajęciem słuchał; tak się każdemu podobała. To też hojnie sypnęły się złote pieniądze do czapki w nagrodę. Nie pominął też i króla i królowej, a w końcu i przed królewną grał. Król i królowa także dorzucili kilka sztuk złota, a gdy królewna takiż sam podarunek dać chciała — nie przyjął. Zdziwiona królewna, pyta się, coby żądał za to, kiedy pieniędzy wziąść nie chce? Śmiało odpowiedział: że sobie tego życzy i za najszczęśliwszego z ludzi uważać się będzie, jeżeli królewna raczy z nim z jednego kubka wino pić. Było tego trochę za wiele, żeby biedny owczarek z królewską córką razem z jednego kubka pić miał, ale dobra królewna przychyliła się do jego prośby, zwłaszcza że jej się taka śmiałość otwarta, a przytem i postawa jego podobała. Nalała więc do złotego kubka wybornego wina, upiła nieco i podała mu; on wypił do połowy i na odwrót podaje królewnej, a w tem niepostrzeżenie wpuszcza drogi pierścień, który od niej w lesie otrzymał, do kubka. Królewna wzięła podany jej puhar i pije, a wtem uczuła coś twardego w ustach. Zlękła się nieco, ale jakież zdziwienie ją ogarnęło, gdy wyjęty z ust pierścień poznała, że to ten sam, który przed kilku miesiącami dała rycerzowi w złotej zbroi. Wpatruje się pilnie w twarz owczarka i poznaje po rysach twarzy tego samego, który ją od śmierci wybawił. Zdumieli się wszyscy niemało, gdy królewna krzyknęła: To mój wybawca! a wtem rzuciła mu się na szyję, czule go objąwszy. Od wielkiej radości rzęsiste łzy popłynęły jej z oczu. Król i królowa też przyskoczyli i ujęli go za ręce serdecznie, bo i oni go poznali być wybawcą. Teraz stanowczo król mu oświadczył, że go nie puści więcej od siebie. Na co mu on odpowiedział, że jeszcze na jakiś czas oddalić się musi, a potem sam przybędzie.

Król zwołał wszystkich gości i powiedział im tę radosną nowinę; przytem powiedział im cel zjazdu, podziękował. i pozwolił odjechać im do domów.

Owczarek zaś, po skromnej uczcie, zaraz odszedł do swego opiekuna. Ten, jak zawsze, mile go przyjął, podziękował mu, że tak dobrze wszystko sprawił. Wprowadził go potem do jaskini, a ztąd przez tajemniczą komorę do zaklętego zamku. W drodze. opowiadał mu jeszcze dużo ciekawych rzeczy. Powiedział mu i to, że gdy on się spotykał ze smokiem, to on to wszystko w duchu widział i modlił się gorąco za niego. Dalej mówił mu: W tej właśnie chwili, gdyś ty o mnie wspomniał, wstąpił mój duch na moment w ciebie, i ztąd ty nową siłę, a koń twój nową odwagę otrzymał. Po przebyciu różnych pokoi, z których jedne już mu były znane, przyszli w końcu do obszernej i bardzo wspaniałej sali. Ściany jej były z kryształu. Nie mógł się temu nadziwić, bo ani w królewskim pałacu takiego bogactwa nie widział. Gdy się tak dalej oglądał po sali, ujrzał na podłodze coś niby do człowieka podobne, ale całe mchem porosłe. Zdziwiony, zapytuje się coby to było. Na to mu ów jego opiekun odpowiedział: Człowiek ten, co go tam widzisz, jest to mój ojciec. Był on tu przed stu latami królem. Ten wspaniały gmach, w którym jesteśmy, był jego zamkiem. Miał nas dwóch synów, mnie i drugiego jeszcze. Ponieważ ja byłem młodszym, a zatem starszemu, podług prawa, panować po ojcu wypadało, więc ja zabiłem brata, myśląc, że teraz, gdy sam będę, to się mnie królestwo dostanie. Ojciec mój, dowiedziawszy się o tem, strofował mnie ostro za to i wręcz mi powiedział, że właśnie dla tej zbrodni królestwa mi nie odda, ale do sąsiedniego państwa go przyłączy. Takiemi słowy, a przytem i wyrzutami sumienia, przywiedziony do rozpaczy, rzuciłem się na ojca i miecz w jego piersi utopiłem. Myślałem teraz, że

kiedy ojca nie stanie, ja panować będę. Ale jakiż strach mnie zdjął, gdy konający mój ojciec zawołał: "Przeklęty jesteś wyrodny synu! Zamek ten i wszystko co w nim żyje, zaklęte i skamieniałe zostanie, a ty tego strzedz porówno z smokiem będziesz, a za towarzyszów mieć będziesz drapieżne zwierzęta i obrzydłe gadziny. Królestwo dostanie się w obce ręce, a ty w zgryzotach sumienia żyć będziesz, aż się wypełni czas wybawienia cię. Żebyś zaś naturalną śmiercią nie umarł, to ci na niczem zbywać nie będzie. Będziesz dużo tajemnic wiedział i moc miał prawie cudowną, jednak swoją osobą nic zrobić nie będziesz mógł."

Kiedy to straszne przekleństwo usłyszałem, padłem do martwych nóg ojca i ze łzami błagałem o przebaczenie.

"Gdy twoje serce ogniem zapłonie, wtedy ci przebaczę" — wymówił mój ojciec i — skonał. Zaraz w tym momencie ziemia się zatrzęsła, zamek zapadł się, a gdy w strasznej rozpaczy obchodziłem jego pokoje, znalazłem wszystkie żyjące istoty skamieniałe. Oto patrz na ów dziedziniec — tu go wziął za rękę i poprowadził — patrz, to liczne rycerstwo na koniach, to wszystko skamieniałe. Jest ich kilka tysięcy. Właśnie mieli wielką paradę odbywać, na którą się tu zjechali, gdy wtem ta okropna scena się stała i ich również to przekleństwo trafiło. Nie pomarli oni, owszem czekają także wybawcy, któryby ich do życia wzbudził.

Zaraz też, na innych trzech dziedzińcach, zjawiły się drapieżne zwierzęta, któreś ty niedawno ową czarodziejską laską pokonał, a opodal od zamku straszny ów smok. Trzy te konie, na których jeździłeś, żeby smoka pokonać, były na szczęście w chwili zaklęcia po za zamkiem na puszczy. Tym sposobem nie dosięgło ich zaklęcie. Otóż się niemi opiekowałem aż dotąd, gdyż przynajmniej one mi nieco uprzyjemniały życie. Dziwnej też trwałości nabyły w tym zamku, że aż dotąd żyją.

Teraz, mój drogi Janku, przyszła kolej, żebyś i mnie i wszystko co w tym zamku zaklęte wybawił. Oto patrz, ten miecz, którym ojca mego zabiłem, a na którym jeszcze ślady krwi zostały, leży przy jego zwłokach. Tym mieczem masz mi głowę uciąć, piersi me otworzyć, serce wyjąć i u nóg mego ojca spalić.

Z płaczem rzucił się Janek w jego objęcia i rzekł:

— Nigdy, kochany ojcze! nigdy tego zrobić nie mogę; każ mi jeszcze sto smoków zabić, a uczynię to, ale ciebie nie mogę zabić.

— To być inaczej nie może, mój kochany synu, a gdybyś tego uczynić nie chciał, to wiedz, że na nowo drapieżne zwierzęta i straszniejszy jeszcze smok znajdą się i wszystko jak dawniej będzie. Mnie też już życie nie miłe, bo przez te sto lat ani chwili nie miałem wesołej, ja żyję raczej w śmierci, a śmierć nie przyjdzie, póki ty mi jej nie zadasz. Wtedy tylko będę szczęśliwym, kiedy uczynisz to, co żądam po tobie.

— Kiedy to już inaczej być nie może — powiedział Janek, to mi jeszcze powiedz, póki żyjesz, jak tu w takim lesie zamek ten, jako mieszkanie twego ojca, być mógł, a potem, jakim sposobem to królestwo innemu królowi się dostało, a wreszcie zkąd ty żywność przez ten czas brałeś.

— To wszystko ci powiem — odrzekł. Dawniej nie było tu lasu, ale zamek stał na pięknem wzgórzu, ze zaklęciem przepadł się w ziemię; dla owego smoka zaś nikt blizko nie śmiał przystąpić, a ponieważ tu ludzka stopa przez tak długi czas nie postała, to też wszystko lasem porosło. Królestwo zaś takim sposobem dostało się w ręce innemu królowi: Że gdy tu zamek się gdzieś podział, o czem gdy się sąsiedni król dowiedział, przyjechał z wojskiem i to panowanie sobie przywłaszczył. A że także miał dwóch synów, tedy jednemu z nich, pałac wystawiwszy, rządy oddał. Co zaś tyczy się mej żywności, to wszystko co w momencie zaklęcia w zamku, było, przybrało dziwnej mocy, że choć ztąd brałem, jednak zawsze tyle było. Teraz już wszystko wiesz, więc spełnij twoje zadanie.

Rzucili się obaj w wzajemne objęcia jeden drugiemu i po czułem ucałowaniu się, podniósł Janek miecz skrwawiony i z łkaniem, zebrawszy wszystkie siły, ciął w szyję jego; w momencie głowa odpadła, ciało

zaś powaliło się na posadzkę. Ugodził potem w pierś mieczem, a otworzywszy ją, wydobył serce. Naniecił ogień, a gdy płomień buchał, włożył weń serce. Podniósł się dym w górę a napełniwszy salę, spuścił się na zwłoki mchem porosłe. W tej chwili podniosła się prawica starego króla, od stu lat zabitego, usta się otworzyły i dał się słyszeć głos:

"Przebaczam ci, synu, niech ci i Bóg będzie miłosiernym; klątwa zdjęta." Zatrzęsła się ziemia, zamek zaczął się wznosić w górę, a z dziedzińca, gdzie stało skamieniałe wojsko, dała się słyszeć prześliczna muzyka. Janek wyjrzał tam oknem, aż tu widzi, jak wojsko to, przed chwilą nieruchome, przebudzone ze snu stuletniego, odbywa w najlepszym porządku paradę; orkiestra na przodzie zaś cudnie wojenne marsze gra.

Wyszedł ku nim, ci zaś jakby przeczuciem wiedzeni, że to ich pan, prezentowali broń. Rozkazał kilkoma zsieść z koni i za nim się udać. Wprowadził ich do sali, żeby ciało starego króla i nieszczęśliwego syna jego uczciwie i po królewsku pochować. Ciało syna znalazł wprawdzie tak, jak je odszedł, ale z ciała ojca zastał tylko trochę prochu.

Kazał na prędce zbić trumnę, w tę włożyć szczątki obojga. Wyniesiono je na dziedziniec, gdzie je całemu wojsku pokazał, a potem przy wojskowej muzyce złożono je w kaplicy zamkowej. Rozkazał potem konia osiodłać, tego właśnie, na którym smoka zabił, włożył na się odzienie złote i zbroję złotą i tak z całem wojskiem ruszył ku stolicy króla.

Jakież zdziwienie ogarnęło wszystkich, gdy się przybliżał do pałacu ojca swej narzeczonej, kiedy tak wielkie wojsko z muzyką na przodzie ujrzeli. Nie mało się przelękli, bo myśleli, że to nieprzyjaciel. Ale skoro przed wrota przybyli, zostawił wojsko na miejscu, a sam pojechał do króla. Już też i król i rodzina wyszli mu naprzeciw. Ale jakaż radość powstała w ich sercach, gdy go poznali. Jakież miłe powitanie z obu stron.

Wojsko rozkwaterowano po okolicznych wsiach, a rycerz w złotej zbroi zajął miejsce w jednym z pokoi królewskiego pałacu. Cieszyli się wszyscy wesoło. Wyprawili wspaniałą ucztę i myśleli, że teraz już wszystkie trudności pokonane, że teraz będą mogli się na dobre pobrać, a król też już rozkazał zapraszające listy rozpisać do licznych książąt i panów, gdy tu, jakby piorun z jasnego nieba, wpada do dworu goniec z listem w ręku, że nieprzyjaciel wpadł z wielkiem wojskiem do kraju i szybkim krokiem podąża do stolicy króla, pustosząc po drodze i zabierając ludziom majątki. A że to wówczas nie było stałego wojska, to też nigdzie nie doznał oporu.

Napad ten był z tej prostej przyczyny przedsięwzięty, że kiedy to król dał był zwołać wszystkich książąt i panów, chcąc między nimi poznać wybawcę swej córki i temu ją razem z królestwem oddać, wtedy to było wielu rycerzy, którym się królewna bardzo spodobała. Że zaś przy końcu uczty poznano w biednym owczarku tego wybawcę, było można na pewno przyjąć, że on i królewnę i królestwo dostanie, obraziło to dumę możnych, zagranicznych książąt. Postanowili oni natychmiast, nim ślub się odbędzie, wpaść do kraju, oblegnąć króla i zmusić go do dania swej córki jednemu z nich. Liczyli na to, że król im nie da dostatecznego oporu, nie mając wojska pod bronią.

Bardzo się jednak omylili, bo rycerz w złotej zbroi przyprowadził z sobą kilka tysięcy dzielnego wojska z zaklętego zamku, o czem nieprzyjaciel nie wiedział. Wyruszył natychmiast z całem wojskiem w stronę, zkąd nieprzyjaciel nadchodził, i napadł go w czasie, gdy ten najmniejszego nie spodziewał się oporu. Po krótkiej też walce rozpędzono nieprzyjaciela i kilku główniejszych dowódzców wzięto w niewolę.

Z tryumfem powracał rycerz w złotej zbroi z tej wyprawy, a skierował drogę tak, żeby mógł przez ową wioskę, gdzie jego rodzice byli, powracać; bo radby też widzieć, czy jeszcze żyją, bo od czasu swej ucieczki nic o nich nie słyszał.

Wszędzie, gdzie tylko przechodził, witano go jako zwycięzcę, wszędzie cześć mu oddawano podwójną, t. j. jako wybawcy i zwycięzcy.

Przyszedł wreszcie i do wioski, gdzie się urodził i młode lata przepędził, i jego rodzice byli. Tam również te same oznaki czci i uwielbienia mu okazano. Najbardziej atoli go rozrzewniło, gdy między tłumem ludu ujrzał swych rodziców. Gorące łzy rzuciły mu się z oczu i byłby pobiegł do nich, żeby ich uściskać, ale chciał na to inny czas odłożyć.

Nakoniec przybył do dworu króla, witany od niego, a więcej od jego córki, która z wielką tęsknotą go oczekiwała, bojąc się, by nie został zabity na wojnie.

Teraz pomyślał król o weselu, i żeby to jak najprędzej się stało, naznaczył jutrzejszy dzień jako dzień ślubu; królewna też się cieszyła, że to już tak prędko nastąpi. A gdy mu oznajmiono, tedy im powiedział, że to jeszcze tak prędko nie będzie, że chce wprzód także błogosławieństwo swych rodziców otrzymać.

Zdziwili się nie mało, gdy się dowiedzieli, że on jeszcze rodziców ma, bo dotąd uważali go być sierotą. Tem chętniej na to się zgodzili, a królewna ofiarowała mu się za towarzyszkę podróży.

Wybrali się tedy oboje. Do wspaniałej karety wsiadł rycerz i królewna, a z nimi razem woźnica i lokaj. Do drugiego wozu nakładziono różnych rzeczy, tak w pokarmach i napojach, jako też w kosztownych szatach dla siebie i rodziców.

Gdy przyjechali już na miejsce, nie udali się wprost do mieszkania rodziców, ale przystanęli przed karczmą. Tu się ów rycerz ubrał w chłopskie, obdarte odzienie, które umyślnie z sobą był wziął; nie chciał, aby rodzice naraz o jego wywyższeniu wiedzieć mieli, a przytem chciał im jeszcze figla wypłatać, złe bowiem jego w dzieciństwie wychowanie wyryło w jego usposobieniu niezatarte ślady, a choć później jak najlepsze wychowanie odebrał, to zawsze skłonność do wyrządzania komu psot, lubo niewinnych, w nim się objawiała.

Nauczył tedy królewnę i sługi co czynić mają, udał się pieszo w podartej odzieży do domu swych rodziców.

Jak bardzo się uradowali, gdy wszedł do izby i ich pozdrowił, bo go się już niespodziewali widzieć. Jego podarta odzież ich nieco zasmuciła, jednak w nadziei, że teraz inne życie zacznie, gdzie i sobie na przyodziewek i rodzicom na podporę zarabiać będzie, byli bardzo ucieszeni z jego powrotu. Ale nowy smutek, zamiast pociechy, ogarnął ich serca, gdy dawne psoty im wyrządzać zaczął, a w końcu czynił tak, jakby mu coś rozumu brakowało. A tu wbiega posłaniec królewski z uwiadomieniem, że dziś jeszcze królewna w ich domu być chce. Nie wiedzieli teraz, co najprzód uczynić na przyjęcie takiego gościa. Ich domek, jak zwykle na wsi, nie odpowiadał tej okoliczności. Żeby jednak choć nieco go przyozdobić, zaczęli go uprzątać z niepotrzebnych gratów, izbę umiatać, słowem cokolwiek tylko na prędce dało się zrobić, to czyniono. Ich syn, nie tylko że im nie pomagał, ale im jeszcze wszędzie zawadzał. Z obawy, żeby, gdy królewna przyjedzie, nie wyprawił jakiego głupstwa. umyślił go ojciec zamknąć do komory, co też przy pomocy swej żony uczynił. Zaledwie że go zamknęli i nieco izbę oczyścili, aż tu nadjeżdża złocisty powoz. Stanął przed ich domem i z niego słudzy wysadzili piękną królewnę. Ojciec i matka wyszli jej naprzeciw i na klęczkach przepraszali, że ich ubogi domek nie jest dostatecznie przysposobiony na jej przyjęcie. Królewna im bardzo uprzejmie odpowiedziała, że to jej honoru nie urazi, gdy w ubogi domek swego poddanego wstąpi i o jego sposobie życia się dowie. Wprowadzona do izby, usiadła na przygotowanym stołku i zaczęła z nimi łaskawie rozmawiać. Naraz daje się słyszeć z komory głos: Puśćcie mnie! bo i ja chcę królewnę widzieć. Królewna, jakby nic nie wiedziała, pyta się, ktoby tam był zamknięty. Na co jej smutnie odpowiadają, że to ich jedyny syn, który już dawno od nich uciekł, gdzieś się po świecie tułał, a dziś właśnie powrócił; a że jest tak obdarty, iż się wstydzą zań, i dla tej przyczyny zamknęli go w komorze.

— Puśćcie go tu, rzekła królewna, gdyż na tom tu przybyła, żeby was wszystkich widzieć, a przytem waszą biedę lepiej poznać mogła.

Gdy go wypuścili, pobiegł zaraz ku królewnie i siadł obok niej, czyniąc, jakoby

obaj równi sobie byli. Ojciec odrywa go od niej, każe mu gdzie indziej usieść, na co ona nie pozwoliła; musieli więc mu dać pokój.

Po chwili dała znak sługom, ci też już wiedząc co to znaczy, przynieśli z wozu, który przed domem stał, skrzyknię i za wskazaniem wnieśli do komory. Za nimi udał się i ów syn. Słudzy wyszli, ale on tam pozostał i dopiero po niejakim czasie wyszedł. Jego rodzicie prawie osłupieli z podziwu, gdy swego syna ujrzeli w złocistej zbroi, w szatach prawie królewskich, lśniących od złota. On też zaraz, skoro wyszedł, ukląkł przed nimi, prosząc ich najprzód o przebaczenie, tak za dawne złe życie, jako też i za dzisiaj wyrządzoną im psotę; prosił ich też o błogosławieństwo do św. stanu małżeńskiego. Gdy to mówił, uklękła i królewna obok niego i również prosiła o błogosławieństwo. Któż tu zdoła ich radość wypowiedzieć, gdy swego syna tak szczęśliwym widzieli. Pobłogosławili obojgu, a rzęsiste łzy lały im się z oczu.

Po odebranem błogosławieństwie powstała klęcząca para i rzucili się wzajemnie w objęcia, poczem zabrali swych rodziców z sobą, posadzili za stołem, sługom zaś dano rozkaz przyniesienia z wozu pokarmów i napojów, na ten cel przeznaczonych. Po ugoszczeniu wspólnem, wsiedli wszyscy do karety i pojechali do królewskiego pałacu.

Wysłano naprzód jednego sługę, który króla uwiadomił o ich przyjeździe. Król i królowa, z licznym orszakiem panów i pań, wyjechali naprzeciw. Po serdecznem powitaniu się z obu stron, wprowadził ich król do swego pałacu, gdzie im godne miejsce dał.

Nazajutrz, skoro dzień nastał, każdy krząta się pilnie około swej roboty, bo dziś ma się ślub odbyć. Nie było też już żadnych przeszkód, zawadzających temu. Przybyły ksiądz powiedział piękną naukę nowożeńcom, o znaczeniu św. stanu małżeństwa. Młoda para odebrała błogosławieństwo od obojga rodziców, i następnie odbył się uroczysty ślub w zamkowej kaplicy.

Nastąpiły potem uczty, muzyka dobrana rznęła wesoło, wszyscy się bawili ochoczo kilka dni.

Po skończonem weselu, król zdjął sygnet z palca swego i oddał go zięciowi, i z nim razem i berło królewskie. Ogłosił potem po całym kraju, kto teraz jest królem, żeby wszyscy poddani o tem wiedzieli i go jak króla czcili.

Szczęście wielkie zapanowało w całym kraju. Król tak mądry wiedział, jakie prawa ustanawiać dla dobra swych poddanych; wiedział też co wieśniakom dolega — gdyż on sam z nich wyszedł. Ulżył im podatków, a gdzie tylko jakie nieszczęście ich spotkało — pomagał. Mógł on też to czynić, gdyż w zaklętym zamku były wielkie bogactwa, a te się jemu teraz należały. Pokój też znikąd nie został naruszony, bo każdy się obawiał wojować z tak dzielnym rycerzem, jakim był nowy król.

Szczęście zapanowało i w pałacu królewskim, gdy w rok po weselu młoda królowa powiła syna. Radość ztąd była powszechna, bo każdy się spodziewał, że i nowonarodzony, zostawszy kiedyś królem, tak samo mądrze rządzić krajem będzie. W kilka lat później przybyło jeszcze dwóch synów i jedna córka. Tych, gdy już czas był do nauki, oddał mądremu i poczciwemu nauczycielowi dla kształcenia. Z nich też dzielni rycerze wyrośli. Mawiał on często, że nauka jest kluczem do szczęścia, ale tylko dobra i gruntowna nauka. On sam zawdzięczał swoje szczęście nauce, którą w lesie od owego zaklętego człowieka odebrał. Za to też liczne szkoły kazał stawiać, żeby się młodzież, zaraz od zarania swych lat, w dobrem kształcić mogła.

Rodzice króla i rodzice królowej pomarli. Umarł też i król i królowa już dawno i liczne ich potomstwo wymarło, ale dobrobyt kraju kwitnie w najlepsze, bo jest założony na nauce i oświacie.

Powieść tę odebrałem z ust naszego ludu, który ją często, już to przy wieczornych schadzkach, już też i przy kądzieli w zimowym czasie sobie opowiada. W mniemaniu, że ona może nie wszędzie jest znajoma, podjąłem się tej pracy, żeby ją napisać i takową na wieczną pamiątkę potomności zostawić.

Łąka, dnia 15-go Kwietnia (dzień mych urodzin) 1876.

JAN KUPIEC.

W. BOGUSŁAWSKI,

CUD

CZYLI

KRAKOWIACY I GÓRALE

W TRZECH ODSŁONACH.

(Ciąg dalszy).

Swistos.

Oj, będzies nam licho!

Bryndus.

Nie bójta się, ty Swistos, ksyknij na kobiety,
Niech pędzą tsodę.

(Swistos odchodzi.)

Resta skryjmy się w te ksaki,
A jak nas jus pominą wsystkie Krakowiaki,
To i bydło zyskamy, i ochronim gzbiety,
I osukamy wsyćkich.

Morgal.

Nie ujźrą nas moze,
Boć jesce są daleko. Dalej! w imie Boze,
Dalej bracia! spieście się, a sypko do wody.

SPRAWA II.

Bardos *(wychodzi na wzgórek i patrzy za niemi.)*

Już poszli, próżno, chciałbym przywieść ich do zgody,
Ale ich tak przynajmniej pomięszam, przerażę,
Że może co zamyślam z łatwością dokażę.
Przeciągnijmy naprzód drut przez całą drogę,
Jak się nim trąci któren, czy w rękę, czy w nogę,
Uderzony iskierką ognia elektryki,
Upadnie gdyby mucha.

(Stawia elektrykę.)

Poczekajcie smyki?
Nauczę ja was lepiej szanować naukę,
Ja wam nosy przypiekę i żebra potłukę.
Ale gdzież się tu schować, ażeby machinę
Z bezpieczeństwem ustawić? tutaj w tę krzewinę;
Właśnie ten pniaczek bardzo mi będzie dogodny,
Bo w nim dobrze zakryję całe me działanie,
A żaden mnie tu z dołu pałką nie dostanie.

(Schodzi po drut na dół i rozciąga go przez całą drogę.)

Otóż to będzie teraz, sposób wcale modny
Toczenia wojny. Czemuż mój drót przez świat cały
Nie jest dziś przeciągniony by wstrzymał potoki
Krwi ludzkiej?

(Wychodzi na wzgórek z końcem druta.)

Jestem, jako profesor w katedrze wysokiej,
Dam ja wam tu lekcyję zawzięte cymbały!
Ale cicho, już hałas z daleka powstaje,
Zaczynamy robotę.

(Pompuje mocno machinę, słychać głosy wrzeszczące).

Ha łotry, hultaje!
Gońcie! gońcie!

(Bardos ukrywa się lepiej na wzgórek.)

SPRAWA III.

(Bardos ukryty, Bryndus, Swistos i inni Górale za niemi Wawrzeniec, Bartłomiej, Stach, Jonek, wszyscy Krakowiacy wpadają za niemi z bronią.)

Morgal.

Uciekajmy!

Bryndus.

Jus po nas!

Krakowiacy.

Teras ich frycujcie!

(Górale wszyscy uciekając trafiają na drut elektryczny którym uderzeni padają, wołając wszyscy razem.)

Gwałtu! gwałtu!

Krakowiacy.

Teras ich!

Bardos *(głosem wyniosłym.)*

Krakowiacy, stójcie!
Wstrzymajcie się kłótniki! także więc srogiemi
Być chcecie? zabijać ich, gdy leżą na ziemi,
Chcecież zbrodnicze ręce w krwi bezbronnej maczać?
Wyniosłych karać trzeba, pokornym przebaczać,
Tak prawo Boskie uczy. Spuśćcie wasze pałki.

(Krakowiacy spuszczają pałki, Bardos mówi do Górali.)

A wy, gałgańskie dusze! wy zuchwałe śmiałki!
Wy rabusie, hultaje! toż to wy dla tego
Dwa razy w rok na odpust chodzicie na Piaski,
Ażeby się bić w piersi, a krzywdzić bliźniego?
Wstańcie! Dziś oto życie macie z mojej łaski,
A, jeżeli mi się tu zaraz nie zgodzicie,
Jeżeli im wszystkiego bydła nie zwrócicie,
Tedy ta sama straszna niewidoma siła,
Która was gdyby słomkę, na ziemię rzuciła,
Aż na same gorące dno piekła was rzuci!

Morgal.

Baj baja, niechno Waspan tak nie bałamuci.

Bryndus.

Nie mas w tem nic dziwnego ześma się potknęli.

Bardos.

I nic więcej? więczeście żadnego nie mieli
Uderzenia? niceście nie czuli hultaje!

Morgal.

Zwycajnie, kiej cłek w strachu, to się róźnie zdaje.

Bardos.

A już też bezbożności dopełniacie miarki,
Zaraz ja was przekonam, śmiałe niedowiarki.
Krakowiacy stańcie tu. Niech ci przeklętnicy,
Jako już czartów zdobycz, staną po lewicy.
Teraz więc zobaczemy jeźli potraficie.

(Elektryzuje.)

Wyjść stąd. Jeśli trzy kroki tylko się ruszycie,
Wnet, jak barany na rzeź, padniecie na ziemię.
Idźcie więc, pozwalam wam, zabierajcie bydło.

Krakowiacy.

Jak to zaś?

Bardos.

Stójcie cicho.

Morgal.

To prózne mamidło.
Idźmy bracia.

(Chcą iść, uderzeni drutem elektrycznym padają na ziemię wołając.)

Gwałtu! gwałtu!

Bardos.

A! gałgańskie plemię,
Leżysz teraz cichutko i wierzysz nareszcie
Że niebo karze tego, co rzecz cudzą bierze?
Trzebaby wam dać teraz, przynajmniej po dwieście,
Ale wstańcie, i wyznajcie szczerze,
Nie czujecież wewnętrznie sumienia zgryzoty
Żeście im skradli bydło?

Bryndus.

Juści tak coś zda się,
Nie dobze płatać psoty.

Bardos.

A widzisz drągalu?

Morgal.

Nie zważaj nic Bryndusie,
To musi być carownik, od djabła ucony.

Bardos.

Jeszcze bluźnisz? Ach! juześ wiecznie potępiony,
Oto Lucyper już cię chwyta za kołtony,
Uciekaj! weź czemprędzej tę butelkę, naści,
To od święconej wody, włóż ją szyjką w ziemię,
Stań na niej jedną nogą, chwyć ten drut kręcony
Prędzej, bo się zapadniesz w piekielne przepaści!

(Morgal odbiera butelkę, ogląda się z bojaźnią, nareszcie wtyka ją szyjką w ziemię, stawia jedną nogę i chwyta drut. W tem Bardos elektryzuje machinę, widać, jak włosy stają Morgalowi do góry.)

Bardos.

Otóż patrzcie jak włosy stają mu do góry,
Czarci latają nad nim!

Morgal.

Aj! aj!

Bardos.

Już w pazury
Chcą go porwać.

Wszyscy *(krzyczą.)*

Cud! cud! cud!

Bardos.

Dalejże zuchwały,
Żałuj za swoje zbrodnie, a zostaniesz cały,
Wyznaj, żeś głupi.

Morgal *(drżąc wymawia.)*

Głupim.

Bardos.

Tchórz!

Morgal.

Tchós.

Bardos.

Duda.

Morgal.

Duda.

(Idzie pomiędzy swoich, lecz wszyscy uciekają od niego.)

Bardos.

Nauczże się więc lepiej wierzyć w cuda.
Idź sobie, jużeś wolny, a wy wszyscy jego
Wspólnicy, patrzcie, jak on odudziały stoi,
Niech się więc nikt nie waży rozkazu mojego
Łamać, gdy pieska biją, niech się Lewek boi!
Idźcie natychmiast bydło oddać Krakowiakom,
A pierwej jeszcze tutaj, w mojej obecności,
Dajcie im ręce na znak zgody i jedności,
Ściśnijcie się wzajemnie.

Jonek.

My, wejcie Krakusy,
Skłonniśma są do zgody, psebacamy z dusy.

Bardos.

Więc zgoda.

Wszyscy.

Zgoda wiecna!

Bardos.

Dzięki Bogu za to.
Szczęśliwość wasza, będzie prac moich zapłatą.

Bartłomiej.

Ales ten cud?

SPRAWA IV.

Ciż sami i **Miechodmuch** *wpadając.*

Miechodmuch.

Czud? gdzie czud? ja go widzieć muszę.
Usłyszałem z daleka wołające głoszy:
Czud! czud! aż mi od strachu powstawały włoszy.
Biegłem jednak co żywo widzieć to zjawienie,
Bo jestem bardzo ciekaw, na każde zdarzenie,
Ksiądz Pleban, nie największe ma teraz intratki,
Gdyby nam się więc jaki czud objawił rzadki,
Mielibyśmy oferty, wota, fundaczyje,
Dopierobym sobie żył, nie tak, jak dziś żyje!
Byłyby tu kapłonki, o wej i barany,
I pieniążki.

(Ciąg dalszy nastąpi).